

Biuro werbunkowe „Strzelca“ było przepełnione, ciągnęli młodzi i starzy, akademicy, rzemieślnicy, parobcy i chłopcy wiejscy, uczniowie gimnazjalni i wielu, wielu innych, aby krew swą złożyć ojczyźnie w ofierze...

W komisji werbunkowej zasiadał porucznik Korewicz, który szybko a wprawnie zapisywał zgłaszających się i pouczał ich o obowiązkach, jakie na siebie przyjmują...

Pewnego dnia bezdenne zdumienie odbiło się na jego twarzy — przed nim stanął Rumpel.

— Chcę się zapisać do „Strzelca“ — rzekł ze zwykłym sobie spokojem.

Korewicz nie wierzył własnym oczom i uszom, zapytał więc:

— Co?!

— Chcę wstąpić do „Strzelca“.

— Czy obywatel wie o tem, że wstępując do naszej organizacji, podpada pod ścisłą dyscyplinę wojskową, że wykluczonem jest wszelkie politykowanie, dyskusja, krytyka...

— Wiem o tem!

— Czy obywatel wie, że wkrótce wyruszamy w pole?

— Dlatego też chcę się zapisać!

Korewicz przypomniał sobie historię swego wyboru na prezesa „Switu“ i powtórzył w duchu: „Dyabli wiedzą, kto z tym człowiekiem dojdzie do ładu“.

Głośno zaś zapytał:

— Jakiż pseudonim obywatel sobie wybiera?

— Pseudonim? Niech będzie Adam...

— Dobrze.

Korewicz załatwił potrzebne formalności, a spoglądając za odchodzącym „antymilitarystą“, pomyślał:

— Trzeba go chyba będzie dać do kancelaryi, albo do jakiej innej lżejszej służby. Przecież pod karabinem załamałby się...

* * *

Kolega Rumpel do kancelaryi nie poszedł, ani do żadnej innej służby pozafrontowej. Pod karabinem wbrew wszelkim przewidywaniom nie załamał się, dźwigał go i maszerował dzielnie, nie ustępując ani kroku kolegom. Trudy i niewygody znośił twardo bez słowa skargi, wypełniał każdy rozkaz bez szemrania i mógł służyć za przykład niejednemu z tych, którzy go ongiś wydrwili dowcipnie przy kawiarzynie stoliku lub w rozmowach z pannami.

A kiedy przyszło do spotkania z wrogiem, oka-

zało się, że lekkomyślne posądzanie go o tchórzstwo było zupełnie bezpodstawne.

Bił się tak, jak każdy inny, lub raczej lepiej niż każdy inny. Ten sam upór, zaciętość, wytrwałość, jakie ujawniał w każdym innym wypadku, cechowały jego żołnierkę. Żołnierz z niego był pod każdym względem wzorowy, rozkazy wypełniał jak najściślej, nie pozwalając sobie na najlżejsze słowo krytyki lub niezadowolenia.

Zdawało się, że to nie ten sam człowiek, że zmienił się zupełnie.

Nie zmienił się jednak wcale. O tem wiedział tylko Wacek Kownacki, któremu Rumpel rzekł krótko, gdy go ten wyciągał na rozmowę o zmianie jego przekonania.

— Jestem teraz żołnierzem, dobrowolnie przyjąłem na siebie obowiązki i spełnię je... Krytykować mi nie wolno, a co myślę, to już rzecz moja... Myśl moja jest wolną...

I pełnił dalej trud żołnierski, jak i inni. Był tylko cichszy niż inni, do wesołych gawęd żołnierskich mieszał się rzadko, od kolegów trzymał się, jakby trochę z daleka.

Komendant kompanii zwrócił wkrótce uwagę na niego, pomimo jego niepozornej postaci — ocenił jego zalety żołnierskie i chciał go podać do szarży podoficerskiej.

Rumpel podziękował za uznanie, ale prosił, aby mu wolno było zostać prostym żołnierzem...

* * *

Najczęściej obcował Rumpel z Wackiem i przed nim też zwierzył się z przeczucia śmierci, mówiąc najzupełniej spokojnie:

— Wiesz, Wacek, jestem pewny, że tej wojny nie przeżyję...

Ja już zginę w tym mundurze...

I przeczucie jego spełniło się...

Kompania, do której należał Rumpel, otrzymała rozkaz, ażeby za wszelką cenę zająć wzgórze, silnie ufortyfikowane przez nieprzyjaciela i gęsto otoczone zasiekami z drutu kolczastego...

Legioniści, wspierani wydatnie przez ogień działowy, ruszyli do ataku, jak niszcząca burza.

W jednym z pierwszych szeregów szturmujących szedł Rumpel.

Zdziwiłby się Korewicz, zdziwiłaby się niemało piękna Hala, gdyby mogli widzieć w tej chwili wyśmianego, wzgardzonego „antymilitarystę“, jak rwał naprzód z zupełną pogardą dla śmierci, obojętnej

na grad kul, ryk granatów i deszcz rozpryskujących się szrapneli.

Legioniści wtargnęli w zestrzelane przez artylerię zasieki rosyjskie i runęli na wroga, jak huragan...

Zaczęła się walka pierś o pierś, walczone na pięści, zęby, w dzikiej zaciętości.

Wreszcie Rosjanie nie zdołali wytrzymać natarcia i poczęli się mieszać i cofać...

— Poddajcie się! — zabrzmiały głosy.

Większa część Rosjan rzuciła broń, niektórzy jednak nie chcieli się poddać i rzucili się do beładnej ucieczki.

Jeden z uciekających obrócił się nagle, wystrzelił naoslep i pędził dalej...

Strzał trafił...

Rumpel, który w zapale walki wysunął się na czoło oddziału, zachwiał się, zbieleł na twarzy, jak płótno i padł na ziemię.

Wacek Kownacki rzucił się ku przyjacielowi, chcąc go ratować. Z ust rannego płynął strumyk krwi, pierś wznosiła się rzeżącym oddechem konania.

Był przytomny zupełnie:

— Już po mnie — wyszeptał. — Wacek, matkę pożegnaj, a pannie Hali powiedz, że zginąłem, ale zawsze ten sam...

Chciał mówić coś jeszcze, ale krew buchnęła żywym strumieniem i niedowiedziane słowa skończyły na stygnących ustach.

Ściągnięta zawsze wyrazem uporu i zaciętości twarz złagodniała, rozlał się na niej spokój, wieczna cisza...

* * *

Po żołniersku, skromnie, cicho pochowano „antymilitarystę“. Kapelan odmówił modlitwy i przemówił krótko.

Wspomniał o dzielnym zachowaniu się poległego, który miał być przedstawiony do medalu za waleczność...

Zabrzmiała krótka salwa...

Trumnę spuszczone do grobu, usypano mały kopiec, zatknięto na nim prosty krzyż drewniany i zawieszono siwą czapkę z orzełkiem...

I popłynęła dalekiem echem pieśń pożegnalna:

„Śpij kolego w ciemnym grobie,
Niech się Polska przyśni tobie“.

A potem rozeszli się wszyscy.

„Antymilitarysta“ został pod skromną żołnierską mogiłą.



Z walk we Francji: Atak żuawów.

„Dzień Rutowskiego“ we Lwowie.

Lwów uczcił swego prezydenta dra Rutowskiego, który tak wielkie położył zasługi dla miasta w czasie inwazji rosyjskiej. Byłoby rzeczą zbyteczną rozpisywać się szeroko o tem, co uczynił dr. Rutow-

ski dla ludności Lwowa w tym jego ciężkim okresie gospodarki rosyjskiej. Wielokrotnie już o tem pisano, wystarczy więc zaznaczyć, że Lwowianie czczą prezydenta Rutowskiego, którego Rosjanie, uciekając ze Lwowa, wywieźli — jako opiekuna i ojca, a wyrazem tego była między innymi uroczystość „dnia

Rutowskiego“, urządzona we Lwowie w pierwszych dniach b. m.

Obchód rozpoczął się uroczystym nabożeństwem w kościele archikatedralnym, celebrowanem przez księdza kanonika Bilskiego. Porządek w kościele utrzymywał odświętnie przybrana straż pożarna.